

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego Nr. 21 m. 6.

Czynne od g. 12—2 oprócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 50 zł.
 $\frac{1}{2}$ „ — 25 „
 $\frac{1}{4}$ „ — 13 „
 $\frac{1}{8}$ „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Fantazje o „straganie“.

Przez prasę polską, codzienną i periodyczną przewaliła niedawno fala dyskusji o „straganie“. Nie trzeba chyba powtarzać, czy streszczać tej znamiennej dyskusji, która jeszcze jest w toku, jakkolwiek pozbyła się już swej swoistej świeżości, jaką była nacechowana na początku. Warto jednak omówić nieco, z pod kąta widzenia wileńskiego, tło tego straganowego zagadnienia.

Ma ono tło podwójne—powiedzmy: emocjonalne i gospodarcze. Emocjonalnie wywodzi się niewątpliwie z bojowego antysemityzmu. Samo słowo „stragan“ ma już dziś swoją esencjonalność, stało się synonimem pewnego prądu, pędu, hasła. Bez straganu nie rozwiąże się dziś sprawy żydowskiej w Polsce radykalnie, tak, jak ją sobie chcą rozwiązać antysemici, mniej lub więcej radykalni. Więc hasło: żydowskie stragany muszą przejść w ręce polskie—rozbrzmiewa dziś już szeroko. Teza ta nie podlega żadnej dyskusji; tu niema różnicy zdań, jeżeli chodzi o samą zasadę. Są tylko różnice poglądów taktycznych, pewne odcienie w zabiegach wykonalnych: jak to zrobić?

Jedni, bardziej zapędliwi (radykali!), chcieliby już zaraz rozwalić stragany żydowskie, nie szczędząc przy tem łbów żydowskich straganiarzy. Inni, umiarkowani, swój stosunek do sprawy opanowania straganów żydowskich określili, dziś już przysłowiowym wyrazem „i owszem“ — ale bez gwałtów i ekscesów. Zapędliwość pierwszych została przez czynniki oficjalne powstrzymana i nawet potępiona, przy uspokajającym drugimi odłam rzeczników straganiarstwa polskiego, wspomnianem wyżej słówkiem—„owszem“. Obecnie więc pęd do straganu narodowego ujęty został w znormalizowane jakby korytka postępowania legalnego, co naturalnie wcale nie uspokoiło jeszcze rzeczników pałki i innej broni białej. A piewcy „Miażdżącej Pięści“ wierzą jeszcze w nadejście „nocy długich noży“.

Jednemu i drugiemu prądowi straganiarskiemu służy pomocnie uzasadnienie ekonomiczne, swego rodzaju teoria polskiego straganiarstwa. Wywodzi się ona z pewnych uproszczonych założeń, wiążących sprawę straganu ze sprawami agrarnymi, a poniekąd i z reformą rolną. Więc polska wieś jest przeludniona, ekonomicznie zakorkowana, bez ujścia do miast i miasteczek, gdyż wpoprzek jej drogi stanął żydowski stragan. Gdyby nie Żyd, polskie miasta zaroilyby się polskimi chłopami, którzyby z łatwością przekształcili skład i wygląd drobnego kupiectwa, dzisiaj obcego narodowo. W rezultacie nastąpiłby wielki odpływ z przeludnionej wsi, rozwikłanie problemu agrarnego, no i stępienie natarczywego ostrza reformy rolnej. Ten ostatni argument bardzo się spodobał ziemiaństwu i poniekąd przyczynił się ku temu, że i herbowi dziedzice przymknęli—i owszem—do pochodzu na żydowskie stragany. Solidaryzm narodowy znalazł swój pełny wyraz, bo pogodził na tym odcinku nawet konserwatywnego obszarnika z radykalnym ludowcem z pod „Zielonego Sztandaru“, których nie potrafi zdaje się połączyć obóz pułkownika Koca.

Tedy mamy do czynienia z prądem nadzwyczaj szerokim, przelewającym się po polskich ziemiach, a rozlewne jego fale szepcą złowrogo: na stragany, na stragany—żydowskie!

Napływają te fale i do naszej zatoki Wileńskiej. Listopadowe bicie szyb w żydowskich sklepach, pękające od czasu do czasu petardy, podkładane rękami niewykrytych sprawców—to są jeszcze kwiatki, z których niewątpliwie urosną owoce i opadną dojrzałe na naszą zachwaszczoną glebę.

Tu i ówdzie pojawiają się już neuralgiczne ośrodki i na naszym terenie wiejskim. Pieśń o „długich nożach“ i o „miażdżącej pięści“ zapewne może mieć swój urok dla tutejszych amatorów „świńcówek“, o łbach rozpalonych samogonem. Ale nie bawmy się w przewidywania, jak i co być może. Takie przewi-

dywania mogą być nawet i niebezpieczne. Kontynuujmy lepiej rozważania na temat straganu narodowego, w zastosowaniu do naszego krajowego partykularza.

Rozważania te nastroczą nam od razu pewien paradoks. Jest wszak wyraźna tendencja ujęcia organizacyjnego naszej wsi w karby zgleichschaltowanej w Warszawie spółdzielczości. Jest to dotychczas niepodzielna domena „Naprawy”, jeżeli chodzi o wpływy w ośrodkach organizacyjnych. Niewątpliwie, że w spółdzielczości widzi się drogę do pewnego opanowania organizacyjnego wsi tutejszej nie tylko pod względem ekonomicznym, lecz i politycznym. Ten ostatni wzgląd sprawia, że spółdzielczość jest tu otaczana specjalną kuratelą. Otóż hasła straganiarskie, które znajdują i u nas swoich rzeczników, staną w sprzeczności z akcją spółdzielczą i to nie tyle na gruncie ekonomicznym, ile na politycznym.

Wszak hasło straganu może u nas być realizowane inaczej, niż na ziemiach rdzennie polskich. Nie koniecznie przy straganach po naszych miasteczkach ma stać chłop białoruski lub litewski, powiedzmy. Może go w tem wyręczyć skutecznie chłop z rdzennej Polski przybyły. Taki polski straganiarz znajdzie tu z pewnością preferencyjne poparcie, jako element pożądany. Wszakże ten przybysz skuteczniej wypełni postulat polszczenia handlu w „kresowych” miasteczkach, niż mniej pewny „tutejszy”. Temu straganiarzowi, gdy się tu licznie zdomowi, niekoniecznie na rękę będzie konkurencja spółdzielczości. Z małego straganiarza wyrośnie kupiec, jak się mówi — „prywatny”, prywatny handel, wciskający się wszędzie, gdzie się można wcisnąć i coś zarobić. Płytki prąd spółdzielczości może być łatwo zniesiony przez unarodowiony handel.

Taki rozwój wypadków można i należy u nas przewidywać, jeżeli przypuścić, że prąd straganiarski dotrze i do nas. Tembardziej, że z pewnością znajdu-

ją się czynniki, które będą popierać i organizować eksport straganiarzy z centralnej i zachodniej, czy południowej Polski. Może być tak, że mdła spółdzielczość będzie dla chłopów białoruskiego czy litewskiego, a krewki stragan dla polskiego emigranta.

Naturalnie niekoniecznie wypadki tak się potoczą — może być inaczej. Ale dlaczegoż nie pofantazjować na temat straganów, skoro stragany polskie są wogóle w Polsce jeszcze w sferze fantazji ekonomistów *minorum gentium*, choć narodowych — a „miażdżąca pięść”, wymachująca „długim nożem”, to jeszcze na wileńskim gruncie nieszkodliwy łobuz, podobny do wypuszczonych przez „Słowo” na „Trakt Batorego”.

Kant.

Książka, drukowana siedem lat.

W r. 1930 wyszedł w Wilnie tom I wydawnictwa p. t. „Wilno i Ziemia Wileńska” o zadaniach i celach informacyjnych i reprezentacyjnych zarazem. Przeznaczone nie tylko dla Wilna, miało ono zobrażać Polsce przeszłość historyczną tej ziemi oraz przedstawić jej stan obecny. Jeden tom nie zmieścił całego materiału, i wydawnictwo, pomyślane z rozmachem, podzielono na dwie części. Tom II miał się ukazać wkrótce po I-szym, z artykułami, omawiającymi gospodarcze i kulturalne aktualne zagadnienia Wileńszczyzny.

Treścią swoją druga część książki obejmować miała prawie wszystkie dziedziny życia naukowego i artystycznego: szkolnictwo wyższe, średnie i powszechne, literaturę piękną i sztukę, teatr i muzykę, instytucje naukowe, zabytki historyczne, budownictwo, sztukę ludową, nawet prasę i drukarstwo; prócz tego bardzo szczegółowo omówione być miało życie ekonomiczne, rozwój gospodarczy Ziemi Wileńskiej w ciągu ostatnich lat dziesięciu, zdobycze na polu odbudowy kraju, reformy ustroju rolnego, produkcji przemysłu krajowego, stosunków handlowych, rozbu-

Ze wspomnień o autorce „Nad Niemnem”.

Orzeszkowa... Widzę idącą w Grodnie po Rozkoszy*) z jedną ze swych lektorek, Gorzkowską lub Eysymontówną, Wygonowską lub Klimaszewską... Nie wysoka postać sięga pannom prawie do ramienia. Częściej jednak widywałem ją w niedzielę i święta, gdy odbywała po południu przejażdżkę powozem, udzielonym do dyspozycji powieściopisarki przez zarząd dóbr książąt Lubeckich w pobliskim Stanisławowie. Była na pogrzebie ojca profesora St. Kościalkowskiego, powszechnie szanowanego w Grodnie lekarza, uczestnika powstania r. 63. Doskonale pamiętam Orzeszkową na pierwszym uroczystym obchodzie rocznicy zgonu Mickiewicza, który wtedy ograniczyć się musiał do nabożeństwa żałobnego we wspaniałej farze grodzieńskiej. Raz czy dwa, widziałem ją w łożu starego teatru grodzieńskiego, gdy w dawnej „ujeżdżał-

*) Dawna nazwa pryncypalnej ulicy w Grodnie, niejsza promenad.

ni tyzenhauzowskiej” po raz pierwszy odezwała się po kilkudziesięcioletnim milczeniu mowa polska.

Gdy teraz porównyuję wygląd Orzeszkowej do portretu jej pióra, doktorowej Łukowskiej (z Kościalkowskich), przyznać muszę, że konterfekt wypadł b. wierny. Pominęto szczegół, że znakomita pisarka nawet b. silnie pudrowała swą twarz, trudno mi inaczej wyobrazić ją sobie.

Prawie cały frau cymer Orzeszkowej znałem dobrze z widzenia, zwłaszcza niedalekie sąsiadki panny Eysymontówny, które bodaj wyrosły na jednej ze mną ulicy. Dziś mam jeszcze w oczach sylwetkę palestrancką Stanisława Nahorskiego we drzwiach domu, do którego po zgonie swej pierwszej żony, (też znanej mi z twarzy i rychło potem widzianej w trumnie) wprowadził pisarkę, by w lat niewiele po ożenku, rozstać się z nią i ze światem. I znowu w dobrze już znanym saloniku na Rozkoszy stały mary, a na nich, nie bez ciekawości nawiedzana przez Grodnian, trumna męża najwybitniejszej Grodnianki.

Jeszcze wyraziściej tkwi w mej pamięci postać, odgrywająca dokoła Orzeszkowej rolę doniosłą, mniej

dowy spółdzielczości i t. p. Słowem w tych szerokich zamierzeniach starano się nie pominąć żadnej ważniejszej strony życia tutejszego. — Jednocześnie z ukazaniem się tomu I ogłoszono subskrypcję na II i ostatni tom wydawnictwa. Ponieważ tom I naogół bardzo się podobał i doznał przychylnego przyjęcia, więc i przedpłata na tom następny, mający tworzyć z pierwszym jedną całość, szła bardzo dobrze, zwłaszcza, że wydawca firmowany był przez enigmatyczny co prawda, niemniej dość autorytatywnie brzmiący już swoją nazwą—Wojewódzki Wileński Komitet Regionalny. W subskrypcji, jak się łatwo domyśleć, wzięła liczny udział inteligencja wileńska, wpłaciwszy należność ratami. Wywiązawszy się ze swych zobowiązań i spełniwszy swój obywatelski obowiązek popierania wartościowego wydawnictwa, subskrybent, którym w dużej części był pracownik rozmaitych instytucyj, miał prawo oczekiwać, że za swój ciężko zapracowany grosz, otrzyma to, co mu obiecano i co mu się należało.

Od tego czasu upłynęło lat siedem; ci wszyscy, którzy wpłacili wysoką stosunkowo cenę (tom I kosztował w sprzedaży pierwotnie 35 zł.), zamiast cieszyć się posiadaniem opłaconej książki, cieszą się nadal, jak i przez lata poprzednie, jedynie nadzieją jej posiadania. Nadzieja, to rzecz duża, ale ludzie nietylko w naszych zmaterializowanych czasach, pragną jednak za wydany grosz mieć coś konkretnego. Na owe „coś” oczekuje się nadaremnie od lat 7-miu. Okres czasu bodaj wystarczający, żeby ewentualne niedociągnięcia naprawić, przeoczone błędy skorygować, wykończenie druku przyspieszyć; dostatecznie wystarczający, żeby przez czynniki odpowiednie, (niewiadome a przecież istniejące) zostało okazane siakie takie zainteresowanie całą sprawą a przede wszystkim, żeby opinii publicznej, w formie tej czy innej, fakt roztoczenia opieki nad tą imprezą przez odpowiednie ciało zbiorowe czy jednostkowe, ale wyraźnie i konkretnie odpowiedzialne, do wiadomości podać. Niestety, z tej strony od długich lat zapadła długa cisza.

Tymczasem po mieście zaczęły krążyć „głuche wieści”, tak dalece sensacyjne, że wydawały się jeśli nie nieprawdopodobne, to chyba przesadzone i wyolbrzymione. Nie można sobie wyobrazić, że o nich

nie słyszano tam, gdzie się wszystko i o wszystkim wie, mimo to żadne miarodajne i uspakajające wyjaśnienia nie przychodziły. Rewelacyjne szczegóły, dotyczące II-go tomu „Wilna i Ziemi Wileńskiej” nietylko więc nie znajdowały żadnego zaprzeczenia, ale przeciwnie, w co raz większej mierze i co raz to przez tę i ową osobistość bywały potwierdzane i uzupełniane.

Nie wiadomo właściwie w jakiej obecnie fazie znajduje się druk niefortunnego tomu II. Ale choćby nawet był „na ukończeniu” (który to stan trwa już lata), nie można zlekceważyć tej okoliczności, że w wielu swoich działach (jeśli nie w całości), książka ta stanie się kompletnie nieaktualna. Trzeba bowiem pamiętać, że drugi tom „Wilna i Ziemi Wileńskiej” miał szczegółowo uwzględnić wszelkiego rodzaju zagadnienia kulturalne i gospodarcze Wileńszczyzny niejako in statu nascendi. Publicystyczno-informacyjne założenia obejmowały naszą aktualną, to znaczy z przed lat siedmiu, teraźniejszość. Ta aktualność książki miała być jednym z głównych momentów atrakcyjności.

W ciągu ostatnich siedmiu lat w wielu dziedzinach naszego życia zaszły zmiany, często tak dalece różnostronne, że oczywiście stan obecny jest zupełnie odmienny od tego, jaki był przed laty 5 czy 6. Stąd także i wiadomości z tamtego pochodzące okresu stały się dziś zupełnym anachronizmem. W związku z omawianą książką sytuacja jest o tyle skomplikowana, że niektóre artykuły zostały już wydrukowane (leżą na składzie *in crudo*) i obecnie niema nawet możliwości poprawienia, względnie uzupełnienia rękopisów dodatkowymi i uaktualniającymi, zgodnymi z obecnym stanem faktycznym poprawkami. Bo to, co zostało wydrukowane z rękopisów, pochodzących z przed lat 5 i 6 czy 7-miu, jest dziś zupełnie przestarzałe i tego nie potrzeba dowodzić. W celu utrzymania aktualności książki trzeba chyba wycofać artykuły dziś zdystansowane przez obecną rzeczywistość i zastąpić je nowymi opracowaniami, na co prawdopodobnie zgodziliby się i sami autorzy. Naturalnie, zwiększyłoby to nieco koszty, ale z dwójga złego mniejsze to zło, niż puszczenie w świat materiału przestarzałego. Dla uplastycznienia stanu rzeczy wystarczy wymienić tu tylko dwa działy: szkolnictwo (średnie i powszechne) i drukarstwo.

atoli znana jako sylwetka literacka. Mam na myśli Maksymiljana Obrębskiego. Nosił krawat *a la* Przybyszewski i nieraz w niedzielne południe po sumie, siadywał wraz z moim ś.p. ojcem na skwerku przed farą pojezuicką, by porozmawiać o polityce i sprawach miejskich (był radnym). Ostatni kamerdyner piarski uwija się dziś w restauracji hotelu *Georges* w Wilnie.

Tu urywam personalja, które stanęły w mej pamięci teraz, gdy rodzinny *Ongród* tak niedawno czcił ćwierćwiecze śmierci Orzeszkowej.

*

Przechodzę z kolei do związanych z nią w Grodnie realjów. A więc domy, gdzie mieszkała. Pamięć moja obejmuje tylko dwa. Zanim została Orzeszkowa żoną Nahorskiego, zamieszkiwała drewniany dom o wysokim parterze, mieszczący się na rogu ulic Polnej a Piaskowej. Były to wtedy bardzo ciche ulice i jeśli chodzi o Polną, pełna dużych ogrodów, kwiatowych, owocowych i warzywnych. Czy stoi tu jeszcze wspaniała lipa, na którą musiała nieraz spoglądać na-

sza wielka miłośniczka przyrody z okien swego mieszkania? Rankami i wieczorami, z kompleksu położonych tutaj ogrodów (a ich w Grodnie naogół, Bogu dzięki, jeszcze nie brak) podnosiła się i rozlewała po całej tej ulicy fala nasyconego zapachem kwiatów z plantacyj Szmita ozonu, niosąc rozkosz fizyczną płucom i sercu. Dodać trzeba że punkt ten nieopodal przedzielały od łąk i pól podmiejskich tylko tory kolejowe. Otóż temu *domicilium* Orzeszkowej w Grodnie (może są jeszcze inne, dawniejsze, przed wielkim pożarem miasta w r. 1885) dzieje się oczywiście krzywda. Nikt jego nie wspomni, nikt się nim nie interesuje. A przecież sława Orzeszkowej urosła nietylko na tych ostatnich kilku utworach, jakie napisała w białym domku przy Rozkoszy, gdzie i zmarła. Dlaczegoż on całkiem przesłonił sobą poprzednie jej siedziby? Byłyby więc tam bardzo na miejscu jakaś tablica pamiątkowa, a w przyszłym przewodniku po Grodnie, na który dotychczas zdobyć się miasto nie mogło, wzmianka, jakie właściwie utwory napisała w tym domu.

Mieszkania Orzeszkowej w Grodnie zwykle mi

Łatwo sobie wyobrazić jak wielkie zmiany zaszły w ostatnich choćby latach w dziedzinie szkolnictwa. Niema takiej pozycji cyfrowej, któraby nie uległa gruntownym przeobrażeniom. A tymczasem artykuł o szkolnictwie oparty był przedewszystkiem na materiale statystycznym z lat do r. 1930. Autor poczynił tam liczne zestawienia cyfrowe, skonstruował, specjalne mapy poglądowe na podstawie sumiennych a żmudnych zestawień liczbowych, słowem cała praca miała swoje uzasadnienie w wymowie cyfr; dziś zupełnie nie opowiadających faktycznemu stanowi rzeczy. Dziś wszystko to jest z punktu widzenia informacyjnego pozbawione wartości. Ilość szkół, ich jakość i rodzaj, liczba uczniów, nauczycieli, budynków szkolnych—to wszystko uległo wielkim zmianom. I to nietylko jeśli chodzi o szkolnictwo polskie. W jeszcze większym stosunkowo stopniu zmienił się w Wileńszczyźnie obraz szkolnictwa mniejszościowego. Podobne uwagi nasuwają się również w stosunku do artykułu o drukarniach. Tu też nietrudno jest uprzytomnić sobie przemiany, jakim w ciągu ostatnich lat uległo drukarstwo wileńskie.

Przykłady te dostatecznie ilustrują przykre obniżenie wartości omawianego wydawnictwa, spowodowane niezrozumiałą wieloletnią zwłoką. Podobno główną tego przyczyną miał być brak pieniędzy. Oczywiście, czasy obecnie nie takie, żeby można było sypać pieniądze na każde zawołanie. To jednak wcale nie znaczy, że wobec kryzysu już niczego nie można dokonać. Mimo wszystko, można. Na „Wilno Ziemię Wileńską” pieniądze były. Z różnych źródeł. Między innymi Fundusz Kultury Narodowej też nie pozostał obojętny. Między innymi z sum, jakie wpłynęły ze sprzedaży tomu I. Rozsprzedano około pół tysiąca egzemplarzy po 35 zł. każdy. A i dziś jeszcze należałoby pozostałość nakładu—zamiast konserwowania bezużytecznie na składzie—rozesać do komisowej rozprzedaży po cenie oczywiście znacznie obniżonej, o 50 albo i więcej procent, a choćby i po cenie kosztu. Ale do tego potrzeba energicznej i troskliwej opieki. A dotychczasowa gospodarka była raczej domorosłą. Szwankowała.

Dowodem tego fakty, które nie świadczą o planowości, ani o dobrej organizacji, ani nawet o tem, by ci, co mieli nad całością powierzoną pieczę, wy-

kazali się dbałością. Wiadomo bowiem, że niektórzy autorzy, u których zamówiono artykuły, otrzymali bardzo wysokie honorarja, pobrane z góry, artykułów zaś nie dostarczyli, co między innymi wpłynęło na przerwanie druku. Nazwiska tych autorów dają pewną nadzieję, że ze swych zobowiązań wywiążą się i artykuły nadeszły. Ale tu nie chodzi, rzecz jasna, o tego rodzaju obawy, których nikt zapewne nie żywi, lecz o to, że te zaliczki szafowane były tak hojną dłońią, iż na honorarja dla innych autorów, którzy artykuły dostarczyli na czas i które zostały wydrukowane, pieniędzy zabrakło. Ostatecznie nie grzeszy racjonalnością taka paradoksalna kalkulacja, przy której praca niewykonana zostaje hojnie honorowana, a za pracę wykonaną i dostarczoną nie otrzymuje się ani szeląga. Nie potrzeba wielkiej imaginacji, żeby sobie wyobrazić conajmniej przykre zdziwienie osób, bądź co bądź, poszkodowanych.

To są rzeczy, które mówią o tem, że nad całością imprezy braknie należytej opieki. W tej chwili wcale tu nie chodzi o to, żeby wyszukiwać winnych, bo to bezcelowe, lecz o to, żeby te sprawy, powierzone wreszcie zostały osobom dostatecznie kompetentnym i dającym gwarancję naprawienia niedosięgnięć i energicznego zlikwidowania chorobliwie przeciągającego się w realizacji, a bardzo interesującego przedsięwzięcia.

E. G.

Rok 1936 w pracy kulturalnej Białorusinów.

Jak wiadomo, białoruska praca kulturalno-twórcza — w związku z podziałem ziem białoruskich na dwie części — rozwija się w dwóch różnych, ideologicznie przeciwległych kierunkach. Mianowicie, gdy na sowieckim Wschodzie widzimy szeroko zakrojoną akcję czynników rządzących, skierowaną ku całkowitemu wyniszczeniu indywidualnych rysów białoruskiej kultury narodowej—w myśl formuły: „białoruska w swej formie, lecz proletarjacka w treści”, na Zachodzie inteligencja białoruska wyęta wszystkie swe siły, by zachować i rozwinąć w kulturze narodowej to właśnie, co jest tak energicznie zwalczane w Sowietach.

jałem zwracając myśli i serce ku niej. Patrzyłem na dom i okna, osłonięte ciemnymi tiulowemi zazdrostkami, które przetykała i zdobiła własnoręcznie pisarka suszonymi kwiatami i chyba, jak każdy, chciałem przyniknąć mury, jakie kryły przed nami tę niepospolitą kobietę. Wierzyłem w jej rozum i serce i układałem nawet już w myśli list do niej, kiedy miał ostry targ z kolegami w sztubie. Dom, w jakim Orzeszkowa zamieszkała przy Rozkoszy, tworzył, wraz z przyległym ogrodem o wiekowych drzewach, pewną ładną całość, urozmaiconą parowem Horodniczanki, która stanowiła dla Nahorszczyny naturalną granicę od południa. Otóż do drewnianego tego domu przylepiono potem niezharmonizowaną z nim murowaną przybudówką, drugą zaś połowę swej posiadłości pisarka darowała znanemu już nam „wielkiemu ochmistrzowi” swego dworu M. Obrębskiemu, który wznosił tu rychło dochodową kamienicę, jaka też nie przyczyniła się do podniesienia piękna grodzieńskiego dworku Orzeszkowej. Brakowało snąć właścicielce głębszego cokolwiek przywiązania do swej nieruchomości, jak też dbałości o estetykę zewnętrzną domu.

Drogą jest krajowcom spuścizna b. W. Ks. L. Stosując się do nakazu ewangelicznego: *Colligite fragmenta*, pielęgnujemy dziś z pietyzmem, co nam zostało po wiekach minionych wobec ustawicznych zakazów, by wszystko u nas zunifikować, scentralizować, ujednostajnić, zasymilować... Dlatego wyławiamy chętnie, w myśl zasady powyższej, wszystkie życzliwe ustosunkowania się czołowych w kraju osób do tradycji W. Ks. L. i jego ludów.

Więc Orzeszkowa a *Litwini*. Czcila przeszłość Litwy, czemu wyraz dała w swym pamiętnym kalendarzu wileńskim, aspiracji jednak litewskich nietylko niepodległościowych, lecz nawet odrodzeńczo-kulturalnych nie dostrzegała. Rozumiejąc je może u kobiet czeskich i in., nie zauważyła u stokroć bliższych jej kobiet litewskich, które nawoływała do pracy poprostu w polskiej z ducha i formy organizacji.

Wygłosiła nawet na ten temat odczyt w Wilnie. Oczywiście kobiety Litwinki odpowiedziały *nie*. Nie przeszkodziło to społeczeństwu litewskiemu uchylić czoła przed talentem Orzeszkowej. To też szereg jej

W tej dziedzinie inteligencja białoruska na Zachodzie ujawnia daleko posuniętą zdolność przewidywania: dąży ona do stworzenia w granicach Rzeczypospolitej Polskiej ogniska kultury białoruskiej, narodowej zarówno w formie, jak i treści, wierząc, iż w bliższej czy dalszej przyszłości przyjść musi zwycięstwo demokracji nad systemami sowieckimi i faszystowskimi, a wówczas to, co będzie wykute na Zachodzie, służyć będzie całej demokratycznej Białorusi.

Dążenie do zachowania i rozwinięcia zasadniczych elementów białoruskiej kultury narodowej uzasadnia całą linię postępowania działaczy białoruskich w Polsce w latach ostatnich, szczególnie — w roku ubiegłym. Poszczególne zwalczające się wzajemnie doniedawna grupy i kierunki odsunęły sprawy sporne w dziedzinie politycznej na drugi plan i zapoczątkowały koordynowanie swoich sił i działalności na odcinku kulturalno-oświatowym. Sprawy kultury zajęły pierwsze miejsce, wyniki zaś tej zmiany, do której jeszcze tak niedawno wzywały społeczeństwo bardziej przewidujące jednostki, są nader okazałe.

Przedewszystkiem podkreślić należy wzrost ogólnego zainteresowania się pracą najstarszej białoruskiej placówki naukowo-badawczej — Białoruskiego T-wa Naukowego, pracującego nad wytwarzaniem wartości kulturalno-narodowych. Jak zawsze, najbardziej intensywną działalność ujawniała sekcja muzealna („Rada Muzealna”), zarządzająca zbiorami Muzeum Białoruskiego im. Jana Łuckiewicza oraz bogatym księgozbiorem „alborutheniców”. Wzmogła się również działalność sekcji literacko-artystycznej; mniej energicznie, niż w poprzednich latach, pracowała sekcja historyczna, jako też najmłodsza z sekcji — językoznawcza.

Do składu T-wa wszedł cały szereg nowych członków — zarówno ze starszej, jak i z młodszej generacji. Frekwencja w Muzeum Białoruskiem, stale wzbogacaniem przeważnie drogą darowizn, w r. 1936 zwiększyła się niemal w dwójnasób.

Problemom naukowym poświęca dużo uwagi również białoruska młodzież akademicka, zjednoczona w T-wie Przyjaciół Białorusoznawstwa przy U. S. B. Towarzystwo to zorganizowało w roku ubiegłym szereg odczytów naukowych z dyskusją. Podobne zjawisko zanotować się daje i w Związku Akademików-Białorusinów, o czym świadczą wymownie tematy, poruszane na zebraniach członków tego związku.

rzeczy przetłumaczono na język litewski. Znany krytyk litewski Jaksztas sumiennie należał do wielbicieli jej talentu.

Ciekawy szczegół. Litwin (ks. Stefan Raczkowski) dawał Orzeszkowej ślub z Nahorskim, a gdy znalazł się on później w biedzie, w klasztorze Agłońskim, powieściopisarka nie zapomniała o nim i pisywała doń listy krzepiące.

Na ogół społeczeństwo litewskie żalu większego do Orzeszkowej nie żywiło i wzięło udział w uroczystym pogrzebie (dr. Wilejszys przywiózł do Grodna wianek).

*

Bliższymi z natury rzeczy byli dla pisarki, jako rodowitej Grodnianki, *Białorusini*. Styczności z Orzeszkową miała największa wśród kobiet pionierka ruchu białoruskiego, inżynierowa Alojza z Paszkiewiczów Kajrysowa, która ją odwiedzała w Grodnie. Była to jednak wizyta odosobniona, bo Orzeszkowa, acz krytykowała nieraz arystokrację i ziemiaństwo i lubiała odmalowywać postacie nadniemeńskich Białorusinów,

Szczególniej wydajna była w roku ubiegłym białoruska twórczość poetycka i artystyczna. Obok znanych już szeroko Natalji Arsienjewej, Michasia Maszary, Wasilka, Iljaszewicza i wielu innych na firmamencie białoruskim świecić zaczęła wschodząca gwiazda, naprawdę pierwszej wielkości w osobie bardzo młodego, wybitnie utalentowanego Maksima Tanka. Pierwsze utwory jego uprawniają nas już do prorokowania mu wielkiej przyszłości. Młody poeta obok licznych wierszy, publikowanych w czasopismach białoruskich stworzył przepiękny poemat z życia rybaków naroczańskich p. t. „Narocz”. W ubiegłym roku pokusił się on o wydanie okazałego tomu swych utworów p. t. „Na etapach”. Niestety, zbiór jego utworów uległ konfiskacie...

Znaczny postęp dokonany został u Białorusinów w dziedzinie muzyki, ściślej — w dziedzinie harmonizowania i artystycznego opracowywania białoruskiej twórczości ludowej, niezwykle bogatej i czarującej swym pięknem. Tutaj zaznaczyć należy z wielkim uznaniem przedewszystkiem pracę nieustrudzonego zbieracza pieśni białoruskich, a jednocześnie twórcę i kierownika chóru białoruskiego, znanego szeroko ze swych świetnych występów, Grzegorza Szyrmy.

Sekunduje mu na gruncie wileńskim znany miejscowy muzyk Konstąty Galkowski, który poza harmonizowaniem motywów ludowych daje utwory oryginalne — zarówno utwory symfoniczne, jak romanse do słów poetów białoruskich i t. p.

Na polu harmonizacji pieśni białoruskich duże zasługi położył też przebywający obecnie w Paryżu kompozytor rosyjski Greczaninow, zapalony miłośnik tych pieśni, pracujący obecnie nad projektem opery białoruskiej. W Warszawie na tem polu pracuje prof. Stanisław Kazura, który jednak wydaje opracowane przez siebie pieśni z tekstami polskimi.

W dziedzinie malarstwa pracuje zaszczytnie młodzież białoruska — wychowankowie wydziału sztuki na U.S.B. Poważnie zaznaczył się dorobek artystyczny trzech młodych malarzy — Białorusinów: Czuryły, Siewruka i Siergijewicza. Ostatni w zimowym sezonie 1935/36 r. urządził samodzielną wystawę swych dzieł, która spotkała się z nader pochlebnią krytyką całej prasy wileńskiej. Niestety, starania o uzyskanie dla Siergijewicza stypendjum zagranicznego nie zostały przez Fundusz Kultury Narodowej uwzględnione —

nie przemyślała do końca zagadnienia narodowościowego u nas. Na pogrzeb autorki Kajrysowa zawiozła do Grodna wianek z napisem białoruskim.

Przekład *Gedalego* na język białoruski ukazał w „Naszej Niwie”, a *Cham* i *Zimowy Wieczór* już dawno przerobiono na utwory sceniczne.

Jak wiadomo, Orzeszkowa czytywała czasem literaturę *rosyjską* i utrzymywała stosunki listowne ze swymi rosyjskimi wielbicielami i wielbicielkami. Jako *curiosum* do ich liczby należał też dobrze znany Wilnu twórca muzeum murawjewowskiego gen. Żyrkiewicz, który odwiedził nawet powieściopisarkę w Grodnie.

Jubileuszowy okres dla Orzeszkowej ówczesnego zarządu miejskiego w Grodnie wystylizowała po rosyjsku doktorowa Beklemiszewowa.

Przemawiając do delegacji rady miejskiej Grodna i innych, w których nie brakowało Rosjan, jubilatka trafnie przypomniała znany z dziejów Mickiewicza i Puszkina szczegół, gdy raz w Petersburgu, smagani ulewnym deszczem, obaj wieszczę okryli się jednym płaszczem.

pomimo gorącego poparcia polskich sfer malar-
skich...

Do zaznajamiania szerokich warstw społeczeń-
stwa ze zdobycami białoruskiej poezji, muzyki i ma-
larstwą służą białoruskie czasopisma: wychodzący już
trzeci rok kwartalnik „Kałošie” oraz powstała w ro-
ku 1936 „Maładaja Bielaruś”, która ograniczyła się w ubie-
głym roku tylko do jednego zeszytu.

Tyle—o pracy twórczej. A obok rozwijała się dość
intensywnie praca oświatowa, mająca za zadanie dzie-
lenie się zdobycami kultury z ludem białoruskim, któ-
rego potrzeby duchowe nie są przez oficjalną oświatę
w jej obecnych formach należycie zaspokajane,
oświata ta bowiem prowadzona jest zasadniczo wy-
łącznie w języku i duchu narodowo-polskim. To też—
obok popularyzowania wiedzy w języku białoruskim
drogą wygłaszania odpowiednich prelekcji oraz zor-
ganizowania kursów korespondencyjnych—w r. 1936
wznowiona została przez Białorusinów akcja, skiero-
wana do wprowadzenia nauki w powszechnych szko-
łach po białorusku. Wzięły w tej akcji żywy udział
najpoważniejsze białoruskie organizacje kulturalno-
oświatowe, o których pomówimy w następnym nu-
merze.

H. B.

„Naprzetaj“.

O prymitywnym a dzikim antysemityzmie młodzieży szkół
powszechnych w Wilnie dawno i dobrze wiedzieliśmy. Wdzięcz-
ne zaiste miałby tu zadanie Z. N. P., jeśliby zechciał odważnie
a konsekwentnie rozpocząć w szkole powszechnej walkę z anty-
semityzmem nieletnich, z których wszak rekrutują się potem
bohaterowie głównych rozruchów antysemitycznych.

Młodzież znowu szkół średnich została w latach ostatnich
wciągnięta do akcji antysemitycznej i uległa w dużej mierze wpły-
wowi akademików. Tak młodzież szkół powszechnych jak i śred-
nich odegrała jesienią r. ub. niepoślednią rolę w pamiętnych roz-
ruchach antysemitycznych na ulicach Wilna. Byli to bowiem pazio-
wie lub giermkowie menterów antysemityzmu na U. S. B. i szli
chwacko na sklepy żydowskie.

Gdy w zarysach najogólniejszych tak posępnie przedsta-
wia się sytuacja wśród naszej młodzieży wileńskiej, nagle oto
rozbrzmiewa w Wilnie na początku r. 1937 czysty a świeży głos

*

Stosunki Orzeszkowej ze społeczeństwem ży-
dowskim stanowią temat zbyt często omawiany
i niczem go dziś uzupełnić nie mogę. Nic nie obali
filosemityzmu pisarki.

*

Kończąc te krótkie wspomnienie o Orzeszkowej,
sądzę że będę wyrazicielem szerszego koła jej czci-
cieli, jeśli wypowiem tu życzenie, by już dziś pod-
jęto u nas poważną pracę nad napisaniem godnego
jej życiorysu. Wobec znanej, a tak charakterystycz-
nej dla naszej pisarki—kobiecej *bluszczowości*, tylko
patrzyć, jak rozpoczną się u nas albo prace brzo-
wnicze nad jej życiem, albo znowu harce po mater-
jale biograficznym. Oby oszczędzono Orzeszkowej
tak jednego jak drugiego.

Gardiner.

nowego organu senjorów harcerstwa „Naprzetaj”, stanowiącego
naprawdę, *naprzetaj* piętrzącym się trudnościom i przeciwno-
ściom, pismo o wysokiej wartości moralnej i społecznej.

Nr. 1 „Naprzetaj” ujawnił głębokie a trafne zrozumienie rudy-
mentów ideologii krajowej i wypowiedział się z istic harcerską
odwagą, nie oglądając się na nikogo i nie zważając na nic, krom
zdrowego rozumu i uczciwego sumienia. Takie prasowe wystą-
pienie u nas ma wartość czynu i nie przebrzmi bez śladu. Har-
cerstwo jest to organizacja młoda, świeża, nieprzeżyta, roku-
jąca piękną przyszłość. Więc taki rzecznik, występujący przeciw
nacionalistycznej polityce endecji u nas, a jednocześnie opo-
wiadający się na rzecz uznania prawa „mniejszości” do roz-
woju swych kultur narodowych, jest nader cennym sprzymie-
rzeńcem.

Ze słowa, wypowiedziane w Nr. 1 nie były czczą błagą,
dowodzi przekonująco fakt, iż konsekwentna a wierna raz
obranej linii redakcja zamieściła w Nr. 2 artykuł, poświęcony
sprawie białoruskiej, za który zresztą numer ten uległ konfis-
kacie. Oby błąd taktyczny nie zniechęcił redakcji do pracy ide-
owej, jaką prowadzić zamierza.

Wat.

O kulturę.

(Zamiast feljetonu).

Mamy więc—świeżo powstałe—*Wileńskie T-wo*
Szerzenia Kultury Sztuk Plastycznych. Tytuł taki
długi, że aż się jednym tchem nie da wypowiedzieć.

Czy nie warto byłoby go skrócić, skreślając
dwa ostatnie wyrazy? Otrzymamy poprostu: „Wileń-
skie T-wo Szerzenia Kultury”.

Jakaby to była piękna instytucja i jaka potrzebna,
jaka nawet niezbędna?.. „Sztuki Plastyczne” mogą
być też, ale przedewszystkiem dajcie nam kulturę,
kulturę bez żadnych przymiotników, kulturę, która
jest rdzeniem duszy ludzkiej, dajcie nam kulturalnego
człowieka, któryby szerzył kulturalne obyczaje.

Choć nazwa „kultura” jest importowana na
naszym gruncie z języka obcego, to jednak pojęcie
związane z tem słowem nie jest tutaj obce i chcieli-
byśmy rozszerzać je w Wileńszczyźnie bez zbyt gwał-
townego pośrednictwa różnych „kulturregerów”, któ-
rzy nie zawsze pogłębiają, a często pomniejszają tu-
tejszą wiekami wyrobioną kulturę.

Nie są może oni temu winni, ale poprostu wy-
chowani na innych wzorach, nie umieją odczuć pew-
nych drgnień miejscowej duszy zbiorowej. Stąd
areszty, konfiskaty, a w rezultacie ogólne zadrażnienie
i zapędzenie myśli w podziemia, gdzie myśl ta wy-
powiada się cprawda szeptem, ale taki szept ma
szeroki zasięg, szerszy jeszcze, niż słowo drukowane
w piśmie.

Ci, co zbyt pochopnie nakładają kaganiec na
słowo drukowane, mimowoli, nawet o tem nie wiedząc,
potęgują, megafonizują to samo słowo, wypowiedane
przyciszonym głosem.

Przed wojną Polakom nie wolno było szerzyć
ojczystej kultury na tych ziemiach. Represje, konfi-
skaty, sądy i zesłania, stosowane przez panów z Pe-
tersburga i z nad Wołgi—stosowane były na porządku
dziennym. O szczerem i swobodnem wypowiedaniu
się nie było mowy.

Jaki był tego efekt?.. Ci panowie w gruncie
rzeczy byli mimowolnymi konserwatorami i szerzycie-
lami tych uczuć patriotycznych, które miały być tłam-
szone. Ich gnębicielska akcja zewnętrzna wywoły-
wała tem większą reakcję wewnętrzną.

Bo są rzeczy, których zgnieść siłą nie można i siła wywiera skutek wręcz przeciwny zamierzeniom. To jest sfera uczuć i dążeń duchowych.

Dlatego przydałoby się takie towarzystwo szerzenia kultury, któreby nauczyło wielu ludzi, że w polityce narodowościowej nie można urabiać kierunku uczuć ludzkich za pomocą zakazów i nakazów.

Jak na rzece nie warto budować tamy wpoprzek, gdyż wody podniosą swój poziom, lecz zawsze znajdują sobie ujście gdzieś po bokach i popłyną temi bocznymi strumieniami, dopóki nie zniosą sztucznej tamy.

Bolesław Szyszkowski.

Dokoła święta Patrona Litwy.

Ale przepraszam. Czy nie mylimy się już, nazywając jeszcze św. Kazimierza patronem Litwy, chociażby tylko historycznej? W latach bowiem ostatnich święty królewicz jawnie został zredukowany przez władzę duchowną z głównego patrona Wielkiego Księstwa Litewskiego (*Patronus Principalis MDL.*) na głównego patrona tylko archidiecezji wileńskiej (*Patronus Principalis Archidioecesis Vilnensis*).

W ten sposób Litwę historyczną, poćwiartowaną między Rzeczpospolitą Polską, Republiką Litewską, Łotwę i sowieckie Białoruś i Ukrainę, pozbawiono w dodatku odwiecznego Patrona. Z patrona Wielkiego Księstwa Litewskiego, które sięgało właśnie *od morza do morza*, i od Prus Książęcych po Smoleńsk, św. Kazimierz stał się dziś jedynie bliżej nieokreślonym patronem archidiecezji wileńskiej, tworu nowego, liczącego sobie zaledwie lat dziesięć z okładem, a powstałego w wyniku przeróżnych kombinacji, o charakterze politycznym, po zawarciu smutnej pamięci konkordatu Grabowskiego.

Że tu mówi przez nas nie żadna złośliwość, lecz dobrze udokumentowana rzeczywistość historyczna, świadczy życiorys arbp. Cieplaka pióra ks. Fr. Rutkowskiego, gdzie jest mowa o tem, jakie motywy polityczne działały m. in. przy tworzeniu arcybiskupstwa wileńskiego i wytyczeniu mu granic obecnych.

No, ale stało się. Św. Kazimierz jako patron został zredukowany *in minus*. Zobaczmyż, jak archidiecezja wileńska uczciła w tym roku nowego swego Patrona niebieskiego. Na dni parę przed 4 marca półurzędowicie kurji metropolitalnej w Wilnie, wyróżniani z całej miejscowej prasy polskiej specjalnymi względami przez obu naszych książąt Kościoła, a zwykle doskonale poinformowany o biegu spraw archidiecezjalnych, to jest „Dziennik Wileński” zamieścił w kronice miejscowej notatkę, jaka zapowiadała, że w dniu św. Kazimierza odbędą się we *wszystkich* kościołach archidiecezji nabożeństwa *uroczyste*. Tymczasem już od szeregu lat dzień ten z reguły niczem niebywał odznaczony w naszych kościołach, chyba że św. Kazimierz jest tytułem kościoła, jak to jest w kośc. jezuickim w Wilnie, w farze grodzieńskiej, w Nowej Wilejce i jeszcze w kilku zaledwie miejscach. Jakże inaczej było przed wojną, gdy po całej, jak długa, diecezji wileńskiej, we wszystkich kościołach, odbywały się naprawdę uroczyste nabożeństwa z sumą, kazaniami, kompletami, wzgl. nieszporami. Nie gdzieindziej, lecz właśnie w tym religijnym, kościelnym i liturgicznym kulcie wziął też swój początek, a poniekąd i rozpęd cały pozakościelny kult świętego królewicza z domu Jagiełłowego.

Gdy tedy jawnie upada coraz bardziej ten pierwszy, nic nie wróży mocy szczególnej i długowieczności temu drugiemu. Gdy zabraknie pierwszego, drugi zamieni rychło świętą postać w herosa, jakiś mit krajowy, w barwną legendę regionalną, a wtedy ulotni się z niej cała realność, żywa osobowość i namacalność, jaką Kościół katolicki zawsze umie roztoczyć dokoła kultu swoich świętych, stapiając przedziwne pierwiastki ziemskie z duchowemi.

Gdy dziś często obcy Wilnu reżyserzy i inspijenci tegorocznych imprez kaziukowych ocierają pot z czoła po przebytych trudach montowania w Wilnie prób *corso* kwiatowego lub karnawału *à la Nizza*, być może sądzą, że kładną dopiero w ten sposób niewzruszone zręby pod niedość ugruntowany w ich mniemaniu kult świętego Jagiellona.

Niechże więc wiedzą i pamiętają, że nieodrodni synowie tej ziemi nie umieli dla przyszłości zachować uroczystej formy kultu św. Kazimierza, jaką przekazały im wieki minionie i lata przedwojenne, kiedy dzień 4 marca był naprawdę świętem, acz musiało się obchodzić go w warunkach wrogich dla nas, że wspomniemy tylko walkę naszej młodzieży o wywalczenie tego święta u rosyjskich władz szkolnych.

O symptomatycznej wulgaryzacji dnia świętego Kazimierza przez nazwanie tego święta *Kaziukiem* pisało się w Wilnie dosyć.

Przemyślana linja postępowania miejscowych władz kościelnych odnośnie do zagadnień rdzennie krajowych mogłaby względnie łatwo zapobiec tym szkodliwemu a przykrymu zwyrodnieniu.

Piotr Kantryba.

Z życia szpitali wileńskich.

(Obrazek z natury).

Pewne komplikacje wewnętrzne i zalecenia starych lekarzy nakazały mi położyć się na czas pewien do jednej z klinik uniwersyteckich na Antokolu, by umożliwić przeprowadzenie dokładniejszej obserwacji. Korzystając z hałaśliwej akcji odżyżania U. S. B., która spowodowała zamknięcie naszej uczelni i tak naszą młodzież poważniła, położyłam się do kliniki.

Przyjaciele i życzliwi dawali mi na drogę różne rady, morały i pociechy. „W szpitalu człowiek głębiej zajrzy w życie i zrozumie wiele rzeczy. Dobrze to dla młodej dziewczyny” — mówił jeden poważny pan. „Przez sale szpitalne przeszło wielu ludzi wybitnych, a niejeden z nich tu właśnie się odrodził” — twierdził pewien młody a gorący mistryk. „Teraz dopiero odślonili przed tobą nieuszminkowane oblicze człowieka w swoim wileńskim *naturel*” — rzekł mi trzeci. A był wśród moich pocieszycieli i taki, co nawet zaryzykował twierdzenie: „Jako przyszła zapewne żona i matka, wszystko jedno nie unikniesz, pierwiej lub później, zawarcia bliższej znajomości z salą szpitalną”. Od siebie dodam, że jestem z natury cierpliwa, a dość bierna, i udając się do kliniki, po raz pierwszy w życiu, uważałam dla siebie za najlepsze przygotować się na wszystko — najgorsze.

Wystarczył mi jednak miesiąc pobytu w szpitalu, by poznać co to jest życie. Rzeczywistość szpitalna przeszła moje wszelkie oczekiwania i najgorsze przypuszczenia. Jeślibym musiała dłużej przebyć w tej atmosferze, chyba trudnoby mi już było wytrzymać.

Irytowałam się strasznie, kiedy któraś z chorych na sali obserwacyjnej dostawała ostrych bólów lub ataku, a ja mocniejsza od niej a leżąca nieopodal nie mogłam być zaraz przy niej, pomóc w czemkolwiek, chociażby słowem pociechy. Ale to może mniej ciekawe, jako reakcja wyłącznie subiektywna. Działy się bowiem na sali rzeczy, obok których nikt chyba obojętnie przejść nie potrafi.

Oto wśród nas chrześcijanek los umieścił na tejże sali Żydówkę. Była to bardzo ciężko a beznadziejnie chora osoba, niedaleka już śmierci, a jednak niektóre towarzyszek cierpienia, niestety, „chrześcijanki“, dokuczały Żydówce w sposób bardzo niedelikatny, wprowadzając nawet tu moment nienawiści rasowej. Sama nie lubię Żydów i bojkotuję ich sklepy, nic w nich nie kupując, jednak podobne wyrafinowane znęcanie się „chrześcijanek“, nie tak zresztą chorych, nad prawie umierającą obok nich Żydówką wywarło na mnie wrażenie czegoś tak potwornego, z czym dotąd jeszcze w życiu się nie spotkałam, a czego nigdy już zapomnieć nie zdołam. Jestem antysemitką, lecz nie potrafiłabym się znęcać nad chorym człowiekiem, jeśliby on nawet był Żydem. Dlatego czasami trzeba było mi użyć całej siły woli, by utrzymać siebie na wodzy, nie zerwać się z łóżka i nie zwymyślać takich ludzi od ostatnich, nie zważając nawet na ich cierpienia i może ciężkie stany psychiczne.

Drugi taki obrazek z natury. Oto leży na sali jedna chora na raka, osoba zupełnie nie wierząca, co jeszcze nie powinno w nikim wywoływać urazu psychicznego, raczej przeciwnie. Ale ta rakowa ma „miły” nałóg lub manję. Oto pasjami lubi prowadzenie na sali z chorymi dysput religijnych, zaczynając je wciąż na nowo. Co się działo wówczas?! Myślałam, że dysputujące powydrapują sobie oczy. Ile przytem złości, zaciekłości, kłótni najpospolitszej, wyzwick rynekowych... Zdrowemu nie poszłoby na zdrowie wysłuchiwanie tych rzeczy, tymczasem musiałyśmy słuchać

tego wszystkiego z dnia na dzień my chorzy, ludzie o nerwach starganych lub osłabionych, smutni, a oddaleni od najbliższych, więc tem gorzej spragnieni spokoju.

Czyżby personel kliniczny nie miał już żadnych środków na to, by nikt z leżących na sali nie ważył się nigdy jawnie dokuczać dziś choremu Żydowi lub Żydówce, jutro Litwinowi, pozajutro jeszcze komu innemu i tak bez końca?! Czy sala kliniczna jest miejscem właściwym, by jakiegokolwiek dysputy, tak anti-, jak proreligijne mogły się odbywać, i to w sposób iście karczemny? Czy klinika uniwersytecka nie może zapewnić już nawet nikomu spokoju dla tego, kogo przyjmuje pod swoją opiekę?

Jeśli nie tęsknisz do swego pokoiku i nie cenisz spokoju, połącz się do kliniki, a nauczy cię ona, ile są warte te dobra.

Pacjentka.

Wesołego Alleluja!

Konfiskata.

Z rozporządzenia Starosty Grodzkiego Nr. 2 „Przeglądu Wileńskiego” uległ konfiskacie. W piśmie starostwa do policji powód konfiskaty nie był wymieniony.

**DRUKARNIA
„KRAJOWA”**

WILNO, GDAŃSKA 6

TELEFON 203

Wykonuje druk czasopism w jęz. krajowych •
